

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(8)



Fot. Andrzej Dębowski

Miłosz w Berkeley, lata 60.

„W ciągu tych wszystkich lat, jakie przeżyłem w zachodniej Europie, nie dostałem ani jednej oferty od instytucji zajmujących się krzewieniem wiedzy. To prawda, że moja dziedzina – literatury słowiańskie – jest nieco ezoteryczna. Ale jeżeli uchodzi za taką na kontynencie w połowie zamieszkałym przez narody słowiańskie, można z tego wyciągnąć różne wnioski”⁴.

Początek lat 60. ubiegłego wieku będzie bardzo pracowity, ale spokojny dla kosmity. Przełom nastąpi w drugiej połowie lat 60., gdy w San Francisco zaczynają się wznosić wysokie fale niezadowolenia społecznego, a studenci zaczynają się domagać zmian i wypowiadać w imieniu Ameryki przeciwko Ameryce, co bardzo zaniepokoi poetę.

W Berkeley Czesław Miłosz był przybyszem z dalekiej planety (nie licząc jego znajomych i studentów z uczelni), bo jego ducha w Ameryce nie było. On był zajęty zupełnie czymś innym. W Berkeley był tylko fizycznie, był tylko ciałem. Zapracowany jak zawsze, spędzał setki godzin w bibliotekach na wertowaniu starych map, przewodników, encyklopedii, nie o Ameryce, ale o Europie, Litwie, tym kawałku ziemi, na którym się urodził. Doszukiwał się swojej tożsamości, korzeni mających setki lat, a żył i mieszkał wśród ludzi patrzących w przyszłość, którzy ciągle byli w ruchu, dla nich nie było problemem rozwiązanie starego kościoła i wybudowanie na jego miejscu sklepu lub parkingu. Dla nich nie było problemem sprzedaż mieszkania wraz z meblami, bo kto by woził ze sobą stare krzesła lub stoły, kredensy i szafy po Ameryce. Ludzi, którzy jeśli potrzebowali garnitur, to szli do wypożyczalni garniturów, wypożyczali go na dzień lub dwa i nie było sprawy. Jego myśli i twórczość była o czymś zupełnie innym, no-

gami stąpał po ziemi amerykańskiej, myślałmi wędrował tysiące kilometrów od miejsca zamieszkania. Miłosz w Ameryce to badacz kultury, socjolog, antropolog, amator archeologii amerykańskiej, tak się czuł w wielkich miastach, gdzie żyje sto pięćdziesiąt ludzi na kilometr kwadratowy. Prowincja – te wielkie przestrzenie pomiędzy A i B, gdzie jest jeden człowiek na kilometr kwadratowy, to nuda. Wielkie i małe przestrzenie przerażały go. Po prostu źle się czuł w Ameryce, chociaż wybrał ją na swój dom. Na szczęście dla nas, wielbiciele jego twórczości, on sam dla siebie był światem, ustalał, co jest ważne, a co najważniejsze, jedynie przybył z zewnątrz, na przykład Zbigniew Herbert czy Aleksander Wat byli dopuszczani pod warunkiem, że spełnią określoną rolę, jaką gospodarz im wyznaczył. Można powiedzieć, że przede wszystkim był skupiony na sobie samym, co nie jest żadnym wyjątkiem wśród artystów. Jego nieliczni studenci wiedzieli, co tak naprawdę ich profesora interesuje. Dla niego najważniejsze było to, co dotyczyło bezpośrednio tylko jego, akurat tego, nad czym pracował w danym momencie. W rozmowie z Aleksandrem Fiutem poeta powiedział: „Ameryka jest krajem wielkiej samotności. Trzeba być bardzo mocnym, żeby przeżyć tak dużą samotność jak w Ameryce”⁵.

Po raz kolejny poeta mówi prawdę o Ameryce, ale ludzie w Polsce nie chcą jej słyszeć. Dlaczego? Bo Ameryka to raj dolarowy i dajcie mi wizę amerykańską i też będę chciał być tak samotny jak Miłosz – wielu tak wtedy myślało i dzisiaj też myśli. W dalszej części tej rozmowy poeta z Berkeley mówi: „W Ameryce jest o wiele więcej życzliwości niż w Europie. Chęci pomocy, bezinteresownej życzliwości. A równocześnie jest ogromny dystans pomiędzy człowiekiem i człowiekiem. Dystans, który jakby ma odpowiednik w ogromnych przestrzeniach. To znaczy, nie ma się czasu, nikt nie ma czasu, żeby się spotkać”⁶. Dalej poeta wyjaśnia dlaczego według niego tak się dzieje. Aby zakończyć tę myśl, stwierdza: „że, przestałem czuć się w Ameryce pariasem, cudzoziemcem, który jest obcy. Tam wszyscy są obcy. Wszyscy skądś przyjechali”. Tak, wszyscy skądś przyjechali, ale za pracą, a nie za kulturą, nawet sławna na cały świat paryska „Kultura” nie ma tutaj za wielu czytelników.

Dla niego amerykańskie lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku, burzliwe od strony społeczno-politycznej, były ciekawe, ale bardziej zachwycał się amerykańską naturą Kalifornii, zachodu kraju, niż amerykańską polityką. (Pewne jej ślady znajdziemy w korespondencji Miłosza do znajomych, choćby do Zbigniewa Herberta o Murzynach, czy redaktora paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia będącego pod Paryżem, co tak naprawdę w tym Berkeley się dzieje lub w korespondencji z roku 1969 z Markiem Skwarnickim. Píše wprost: „cierpię nad tutejszym obłędem dwóch nienawidzących siebie Ameryk w jednym mieście”). Tak, miasto Berkeley było miejscem podzielonym, jednym był kampus i „walka o lepszą Amerykę”, a drugim samo miasto żyjące własnym życiem, obserwujące obszar uniwersytetu z dużym dystansem.

Była jeszcze ogromna Ameryka, to, co się w niej działo i wojna w Wietnamie, dyskryminacje rasowe czarnych Amerykanów, protesty młodych ludzi nie tylko w Kalifornii.

Dwa przeciwstawne bieguny

Narodziny beatników, wiersze hippisów z pobliskiego San Francisco, działalność jednej z najważniejszych księgarni i wydawnictwa w Ameryce, księgarni City Lights, czy zainteresowanie się młodzieży amerykańskiej kulturą dalekiego wschodu, medytacją, piosenki i pieśni Boba Dylana, wiersze Allena Ginsberga i Dzieci Kwiatów, śmierć króla Rock & Rolla Elvisa Presleya, są poza zainteresowaniem poety spod Wilna. Miłosz był od tych ludzi mentalnie zupełnie inny, żył w swoim mieszczańskim, nudnym świecie, w którym dużo się działo dramatów i rozterek. Życie poety Miłosza w Kalifornii było bardzo tradycyjne, praca od rana do wieczora, w weekendy wypadki na łono przyrody, etc., czyli zupełnie inne w porównaniu choćby z życiem poety wydającym swoje książki w City Lights Bookstore, Allenem Ginsbergiem. Był on jednym z największych poetów Ameryki drugiej połowy XX wieku, a w *Widzeniach...* pojawia się tylko raz, w rozdziale piętnastym pt. „Wizerunek bestii”, na samym początku poematu „Howl”, a w nim Moloch, którego ucho dymiący grób! Rozdział rozpoczyna się zdaniem „Allen Ginsberg skandując swoją na odwrót-whitmanowską pieśń był Każdym”⁷. Słowo „Każdym” z wielkiej litery.

Miłosz lubił Ginsberga za jego whitmanowską postawę, ale nie cenił jego działań, bo uważał, że taka postawa służy bardziej anarchii niż sprawie, którą Ginsberg reprezentował. Nie jest to pochlebne zdanie o poecie, który podporządkował swoje życie poezji, podobnie zresztą jak i poeta profesor Miłosz. Jak już wspomniano, obaj poeci są na dwóch różnych biegunach osobowości: Ginsberg szaleństwa, a Miłosz spokoju mieszczańskiego, Ginsberg zarośnięty, brodaty błazen Ameryki, a Miłosz wygolony uczony, profesor uniwersytecki. Nic ich nie łączy, a jednak poeta wileński cytuje go, bo widzi w nim zmiany zachodzące w Ameryce, widzi w nim Walta Whitmana XX wieku. Ten *Moloch, którego duszą elektryczność i banki!* Ten kraj pieniądza „Złotego Cielca” właśnie poprzez poezję i poetów, takich jak Ginsberg zamienia się lub zmienia Ameryka w miejsce, gdzie kultura i sztuka, poeci i artyści będą mieć znaczenie. Ameryka po II wojnie światowej przez dwie dekady zmienia się w kraj, do którego miliony głodnych, niepiśmiennych przybyło za chlebem na Ellis Island.

cdn.

⁴ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 184.

⁵ Czesława Miłosza *autoportret przekorny*. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut, Kraków 1994.

⁶ Czesława Miłosza *autoportret przekorny*. Rozmowy przeprowadził Aleksander Fiut, Kraków 1994, s. 123.

⁷ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 58.